№ 12.
WARSZAWA.
22 Marca
1863.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Wielebny Beda kapłan i doktór kościoła.— List Józefa do brata, III.— Wszech świat, słów kilka do pana Tadeusza.— Duch złodziej, zdarzenie prawdziwe.— Różności: Bank gminy w Niemierczu.

Wielebny Beda kapłan i doktór kościoła.

—

Beda zakonnik i kapłan u Ś. Piotra i Pawła mąż uczony i święty, nauką wszystkiemu światu wsławiony, urodził się w Anglii. Gdy miał lat siedm, dali go rodzice na wychowanie do klasztoru pod ćwiczenie Benedykta Opata, gdzie dziwnie w świętych cnotach i w nauce rosnąc, stał się wielkim doktorem. Dyakonem został, dziewiętnaście lat mając, a kapłanem trzydzieści; od którego czasu aż do końca żywota swego, nauczać i pisać nigdy nie przestał, bo milszego nic nie miał, jeno ustawicznie pismo święte czytać i wykładać Tak był w nauce sławny, iż Sergjiusz papież do Opata jego pisał do Anglji, prosząc, aby mu sługę bożego Bedę posłał, iż obecności jego w trudnych sprawach kościoła bożego i wiary świętej potrzebował. Bo się już był tak po wszystkim świecie rozsławił, iż i rzymskiego kościoła wysokość pracy jego w rozwiązaniu trudności pisma świętego potrzebowała, około którego się on, skoro czytać począł, ustawicznie bawił. Zawdy albo pisał, albo czytał, albo nauczał. A czytając, rad się sercem zapalał, i ku skrusze przywodził, iż czytając i nauczając, łzy wylewał, i zaraz po nauce albo czytaniu, na modlitwę święty doktór szedł, widząc, że bardziej z łaski bożej, aniżeli z pracy własnej do zrozumienia pisma przychodzą. Nigdy go nikt nie widział próżnującego, i w świeckich naukach wszystkie Anglji doktory przechodził.

Pisał o naukach wyzwolonych nie mało i pięknie, w greckim i żydowskim językach ćwiczony był. Miał wiele uczniów, które przykładem swym i nauką do zamiłowania pisma świętego zapalał. A nie tylko je uczonymi, ale zakonnymi i świętemi czynił. Czego się sam czytaniem i rozmyślaniem nauczył, tego bez zazdrości wszystkim, których do tego sposobnych, a miłością pisma świętego zapalonych być widział, udzielał. Towarzystwo z nim było nauczające, a zarazem wszelkiej zakonności i uczciwości wzorem. Co wiele mówić! Taki to był mąż, iż sława i cnoty jego wy-

mowę przechodzą. Boże! aby się w takiej zabawie kochali duchowni, byłby szczęśliwy stan ludzi zakonnych,— i społeczność ta, wśród której oni, jako przewodnicy i słudzy Chrystusowi są postawieni.

List Józefa do brata.

III.

—

Jeszcze ci mój bracie kochany nie wszystko z mojej podróży opisałem, a choć to dziś Niedziela, dzień wolny od roboty, to i tak pewnie jeszcze wszystkiego nieskończę i niewypiszę, co się w myśli uwija. Przecież niemały to kawał Galicyi poznałem, a tyś może o niej niesłyszał. Bo i naprawdę o różnych stronach człowiek choć ze słyszenia się dowiedział. O Galicyi jak wzrosłem z dziecka, nigdy a nigdy niesłyszałem. Aż teraz mi o tej Galicyi pan Kazimierz dużo naopowiadał, sam też widziałem trochę, to i tobie z tych moich wiadomości cokolwiek udzielę. Więc naprzód mi pan Kazimierz powiedział, że Galicja nazywa się inaczej Ruś Czerwona. Jak jedni mówią, że Czerwoną nazwano ją od tego, że dużo krwi w jej polu wsiąkło, bo Tatarzy ją długo i okrutnie plądrowali, a znowu drudzy powiadają, że jej nazwa czerwonej przyszła, od lęgnącego się tam w wielkiej obfitości owadu *czerwcem* zwanego. Długo tę Ruś wydzierali sobie różni książęta; i Węgierscy królowie z za gór także się na nią łakomili, a ona sobie z Tatarami poradzić nie mogła, i kiedy w Polsce panował Kazimierz Wielki król chłopów, oddała się Polsce, odtąd do Polski należała, aż za ostatniego króla Stanisława Poniatowskiego do Austryi ją przyłączono. To znowu Kraków, do Galicyi przyłączony został, lat temu 16. W samej tej czerwonej Rusi, jak się jej posiadacze kłócili ze sobą, było czasem po kilka osobnych księstw. Najznaczniejsze z nich było Halickie, ztąd, czasem nie mówili o tym kraju Ruś Czerwona, ale Halicja, aż się i na Galicyję przemieniło. Jest też dotąd tam miasto Halicz, ale już nie ono teraz najwięcej znaczy, tylko Lwów i Kraków. Są i inne miasta: Brody, Żółkiew, Kołomyja, Czerniowce, aleśmy tak daleko nie jeździli, to ich nie widziałem. A rzek co w tej Galicyi! Jak mi pan Kazimierz zaczął powiadać, która która zabiera, i do którego wpadają morza, to mi się aż pomieszało wszystko, a tylkom spamiętał Wisłę naszą, bo ją znam z Warszawy, i Dniestr co wpada do Czarnego morza. Co tu najbardziej jest osobliwego, a czego gdzie indziej niezobaczysz, to góry. Ale ty sobie nie myśl, żeby to były lada wzgórki, bo to wam się ani śni o takich górach. Wiem ja, jak to u nas w Topolinie orać to pole za murowańcem, co wy nazywacie na górach, jak to się nastękają parobki na ciężką pracę, a gospodarze, że im się pługi niszczą, woły i konie mordują. Co by też to oni powiedzieli, żeby zobaczyli na jakich to wysokościach tutaj ludzie orzą i sieją. A i ja jeszcze najwyższych gór niewidziałem, bo w samych Karpatach dotąd nie byłem, tylko że jak się dojeżdża do Karpat, to już na kilkanaście mil przedtem spotyka się góry wyższe od najwyższych domów w mieście, i gdzie spojrzysz to inaczej wygląda jak u nas. Myśmy przejeżdżali przez trzy obwody: Krakowski, Bocheński i Sądecki, a już od połowy tej drogi, ciągle jedziesz z góry i pod górę, i w około góry, i góry jak tylko okiem zajrzyć. Przez Bochnię przejeżdżaliśmy w nocy, nie widziałem jej, tylko słyszałem, że tam także jak w Wieliczce są kopalnie soli. Z Bochni jechaliśmy nocą, ale księżyc w pełni świecił, po księżycu większe jeszcze wydawały się góry i czarniejsze lasy, co po nich rosną. A jak się rozwidniło, to już niewiedziałem w którą stronę patrzyć, bo tu i tu oczy ciągnęły takie widoki, jakich przed tem nieoglądałem. U nas na Mazowszu, co zobaczysz? Orne pola, ugór, piasek i las. Napotkasz wieś około gościńca, to jedna do drugiej podobna. Dwór biały między drzewami, kilka chat nade drogą, krzyż albo kościół drewniany i koniec. Tam, to co chwila, co staje, to co innego. Wysokie ściany gór, to się stykają z sobą, to się rozstępują. Po jednych rośnie gęsty ciemny las jodłowy, po drugich ledwie się puszcza młoda zielona choina. Jedne śpiczaste sterczą, drugie okrągło się rozstaczają, a między niemi ciągną się zielone doliny. Za Sączem, że już lud Rusiński, to gdzie wieś, tam błyszczą trzy wieże od cierkiewki... A wieś nie tak zbudowana jak w innych naszych ziemiach. Chaty rozrzucone po górach,

do nich pną się wąziuchne drożynki. Jak tu śniegu nawali, albo ślizgawica nastanie, to strasznie musi być smutno, bo temi wąwozami, temi spadzistemi ścieżkami, to nawet trudno z jednej chaty do drugiej się dostać. Teraz jak zielenieją się łąki w dolinie, jak bieleją te ścieżki kręte po górach, jak po bokach rozejdzie się bydło na paszy, to tak pięknie że już i wypowiedzieć trudno. Ledwie słońce wschodziło, kiedyśmy przyjechali do Sącza. Tam jeden dzień zabawiliśmy. Pan Kazimierz mi mówił, że to Nowy Sącz, a o milę ztąd jest Stary Sącz, gdzie to święta Kunegunda, co sól sprowadziła do Polski, zbudowała klasztor, tam po śmierci męża do tego klasztoru wstąpiła, i tam też umarła. O tej świętej Kunegundzie, to się w tych stronach różnych historyj nasłuchać można. Nie daleko ztąd jest kamień, a na nim wyraźnie jakby wyciśnięta stopa ludzka. Powiadają, że to Święta Kunegunda na ten kamień stąpiła, uciekając przed Tatarami, i ślad swojej stopy na nim wycisnęła. Ten Nowy-Sącz to jest miasto obwodowe, do niego sprowadzają rekrutów kiedy jest branka.

—

Pod samem miastem płynie rzeka Dunajec, a zabiera w siebie dwie inne rzeki: Poprad, i Kamienicę. Nad rzeką na zielonej górze stał dawniej wielki zamek, dziś już z niego tylko rozwaliny zostały. Kamienie się rozsypują i wpadają do rzeki. Nowych domów jest dosyć, i wcale porządne.

—

Jak już za Nowym-Sączem, to nie spotkasz po wsiach chłopów takich jak nasi, tylko Rusinów górali. Pytałem się pana Kazimierza, czy tu i panowie we dworach Rusini, ale mi pan Kazimierz powiedział, że nie. Że jak się ta Ruś Czerwona z Polską złączyła, to zaraz szlachta przyjęła religję Katolicką, i ubiór i mowę polską, a lud został przy swojej wierze. Są to także katolicy, ale uniccy, i tem się tylko różnią; że ich księża się żenią, i Mszę Św. nie po łacinie, jak u nas, ale w swoim rusińskim języku odprawiają. Mowa ich choć nie zupełnie taka jak nasza, ale też taka podobna, że zrozumiesz wszystko, i oni ciebie rozumieją. Pytałem się, czy to od nich przychodzą do nas ci górale za zarobkiem. Powiedzieli mi, że nie od nich, bo im choć bieda, toby nie rzucili swojego gniazda. Ci górale, co przychodzą do nas kosić, to są z dalszych jeszcze stron i z wyższych gór, z Karpat samych, bo tam tak mało rodzi się zboża, że wyżywić się zupełnie nie mogą. Druciarze znów to są z drugiej strony Karpat, już z Węgier. Ci tutejsi, jak mogą na miejscu biedę klepią, a bieda też u nich nie lada, aż serce boli patrzyć, bo ją po nich znać bardzo. Wszystko tu wychudłe, blade, smutne na twarzy, nędznie ubrane. Bo czemże mają się utuczyć, a choćby i pożywić dobrze. Tym chlebem z owsianych otręb, co go pieką w popiele, że ci się rozsypuje w gębie jak pruchno, albo kartoflem ze solą. Kiedy inne zboże się tu nie rodzi, a i na to trzeba orać te góry w krwawym pocie. Lnu, konopi to mają dosyć, płótna też tkają, i bielą tutejsze kobiety, i same w płutnie chodzą. Mówił pan Kazimierz, że żeby ich kto nauczył gospodarować lepiej, a nadewszystko żeby nie ta pzzebrzydła, nieszczęśliwa gorzałka, której strasznie dużo piją, toby się i im mogło dziać lepiej. Choć brakuje ornego gruntu, to za to nie brakuje pastwisk. Żeby trzymali więcej bydła, a mieli o nim dobre staranie, i koło nabiału chodzić umieli, to by było i pożywienie lepsze, i zarobek większy. Ale oni przywykli już do swojej biedy, i o nic nie dbają. Mówić im, że gdzie indziej lepiej, to kiwną głową i odpowiedzą. „Niech tam!“ Z dnia na dzień pchają biedę, czasem się tylko rozweselą przy weselach, przy chrzcinach, albo na wieczornicach. W samej Krynicy, że to się tam dużo państwa z miast i dworów zjeżdża, zarobek łatwiejszy, to się i lepiej mają i ubierają piękniej, i mina zaraz u nich inna. W tej Krynicy są źródła żelaznej wody, od której człowiekowi mocy i zdrowia przybywa. Do tej wody też na picie i kąpiele zjeżdżają się z Warszawy, z Krakowa, ze Lwowa, z Litwy, z Ukrainy, z Wołynia.

Taka dziwna ta Krynica, bo to nie wiedzieć, czy to miasto? czy to wieś? W środku jest niby miateczko, domów dla gości dosyć, apteka, cukiernia, i sklepy z różnemi towarami. Jest ulica przechadzki, i tamże ławki do spoczynku, i pod dachem na słupkach ocembrowane źródło żelaznej wody, z którego dziewczęta czerpią, i podają gościom tę uzdrawiającą wodę. Na górze przy źródle, jest tutaj

kapliczka, ale tak maleńka, że się w niej ledwie ksiądz zmieści przed ołtarzem. To też jak msza Śta odprawia się, to każdy klęka pod gołem niebem, gdzie może: na dole albo na górze, w koło źródła i między drzewami. Za miasteczkiem z obydwóch stron ciągnie się wieś długo, chaty porządniejsze, gospodarze zamożniejsi, a jak wszędzie, tak i tutaj cerkiewka z trzema wieżyczkami. Wszystko to, i wieś i miasteczko, jakby zamknięte między dwiema ścianami gór. Tylko że jedna ściana skalista, gęsto wysokiemi drzewami obrosła, a druga porżnięta w małe poletki co raz, czem innem zasiane i zasadzone. Jedno też wschodzi ciemno-zielono, drugie majowo, inne żółto albo białawo, tak, że widzisz tę górę jakby, okrytą najpiękniejszym dywanem, w różne desenie wyszywanym.

Na najwyższej wysokości wielki krzyż, zdaje się, że już samego nieba dotyka. Najlepiej lubiłem usiąść przed domkiem wieczorem. Wtedy ulicą szły gromadki bydła, kóz i owiec, pobrzękując dzwoneczkami, a za niemi góralskie chłopcy w rzemiennych pasach mosiędzem nabijanych, w okrągłych kapeluszach i w burkach przez ramie. Te burki oni tutaj nazywają *guniami*. Kobiety same tkają je, i szyją w domu. Całą taką gunię robią z ciemnej brunatnej albo popielatej wełny, a dopiero u rękawów i kaptura szlak w kolorowe pasy. Kobiety od święta noszą żółte, albo czerwone buty, spódniczki, i zapaski niebieskie, a na to owijają się z głową w białe, płucienne rańtuchy.

Jak w Niedzielę, naprzykład po obiedzie, zeszli się wszyscy goście do źródła, jak muzyka w altanie zagrała, to moi górale, gromadami się poschodzili. Okrutnie muszą lubić muzykę. Tak ci tę altanę obstąpili w około, mało które gdzie usiąść, to siadło na pniu, albo na kamieniu, a nie, to choć i ze dwie i trzy godziny stali, a patrzyli się na muzykantów, a słuchali. To się tylko te gunie i rańtuchy, i kapelusze i chustki czerwone mieniły w oczach. Raz jeden pamiętam, zagrali jakiegoś oberka czy mazura, tak skoczno, że mnie aż coś podrywało. Aż tu z gromadki, co stała jak zawsze przed muzyką, wystąpił góral jeden stary, może mu było ze 70 lat, bo włosy miał bielutkie, i spadały mu w kosmykach, twarz miał całą pomarszczoną, koszulę otwartą na kosmatych piersiach, i oczy jak dziś pamiętam, głęboko osadzone zaiskrzyły mu się jak młodemu. Zrzucił gunię, kapelusz, wiatr mu rozwiał siwe włosy, a on jak nie podskoczy raz i drugi, jak potem nie weźmie coraz prędzej skakać, a kręcić się w kółko, a nogami wyrzucać, do tego i przyśpiewywać jeszcze, i pokrzykiwać, tak wszyscy zatrzymali się koło niego, i patrzyli jak w tęczę, a on nic fantazyi nie tracił. Dopiero jak się zmachał na dobre, że mu już tchu nie stało, podniósł czapkę, zarzucił gunię, machnął ręką, i stanął za drugiemi, patrząc w ziemię.— Wszyscy się śmieli, i ja się śmiałem z początku, potem nie wiem czemu żałość mnie ogarnęła. Już tu takie jakieś śpiewy rusińskie, że jak się je słyszy, to się smutno robi na sercu.

Z Krynicy nigdześmy nie wyjeżdżali, i jużem dalej nie poznał Galicyi, bośmy wracali tą samą drogą. I tak będziesz miał co czytać i opowiadać drugim, co tych stron nieznają. Bo napisałem ci, co najciekawsze o Krakowie, o Wieliczce, o Śtej Kunegundzie, o górach i o góralach. Mnie się często śni o tem wszystkiem, żebym się tak z wami zobaczył, tobym jeszcze opowiedział nie jedno.

Bądźcie tam zdrowi, zostajcie z Bogiem, nie zapominajcie o mnie, bo ja czy blisko, czy daleko od was, zawsze o was pamiętam.

Wasz Józef.

WSZECH ŚWIAT.

SŁÓW KILKA DO PANA TADEUSZA.

I.

—

O czem tak myślisz panie Tadeuszu,— gonisz wzrokiem za ptaszyną, która żartując z ciebie coraz i coraz wyżej wznosi się, przerzyna obłoki i ginie z oczu.

Zazdrościsz, o pewno zazdrościsz temu biednemu stworzeniu, że smutną naszą ziemię porzucić może na chwilę, zapomnieć ziemskich trosków i niepodsłuchane zaśpiewać rzewnie. Nie zazdrość panie Tadeuszu skrzydełek ptaszynie, nie dziwuj się, że ona tak wysoko wzbija się nad ziemię, posłuchaj mnie, posłuchaj z uwagą, ja ci wielką odkryję taje-

mnicę; poznasz, że wyżej jak ta ptaszyna, człowiek nad ziemię wzbić się może, poczujesz, że silniejsze jak ona masz skrzydła do nadziemskiej podróży.

Wzniosłeś głowę swą w górę,— oto pierwsze w czem się sama twa budowa wyżej nad innemi stawia stworzeniami. Ty się patrzyć możesz w niebo! ty myślisz, ty masz ducha nieśmiertelnego, który w oka mgnieniu przenosi się z miejsca na miejsce. Oto w tej chwili, ty, możesz myślą zwiedzać twe rodzinne miejsca, widzieć to dziś, coś widział przed laty, gonić w te lub owe strony za kochanemi, rodziną, przyjaciołmi, lotem strzały przebiedz całą kulę ziemską. Czyż nie zdarzało się tobie pomyśleć o braciach daleko gdzieś będących, czy ci się nie zdawało wtedy, jakobyś ich widział, jakobyś przy nich był, choć twe ciało było tutaj, a oni tak daleko. Tak, ty byłeś przy nich, ty byłeś tam wszędzie, ale byłeś myślą. W tej nawet chwili siedząc tu na murawie, goniłeś za jaskułką, ona zginęła z twych oczu, a ty dalej i dalej za nią. Czyj więc lot szybszy, czyje skrzydła silniejsze, kto komu pozazdrościć powinien? Rozumiesz mnie więc teraz kochany panie Tadeuszu, czem człowiek jest silniejszy?— Siłny jest myślą, która go nad wszystkie stworzenia wyższym i potężniejszym czyni! Przyznasz sam zapewne, jak błądzą ci ludzie, którzy czuć w sobie tej siły nie pragną, którzy doświadczać jej nie chcą, jak nieszczęśliwi, którzy wzmacniać jej nie potrafią. Zapytasz mnie teraz, jak poczuć tę siłę, jak jej doświadczać, jakim sposobem wzmacniać ją można. Łatwo ci na to odpowiem, i pewny jestem, że objaśnienia moje zrozumiesz.

Spojrzyj na małe dziecie, które zaledwie szczebiotać zaczyna, uważaj pilnie jak ono o wszystko pyta się matki, jak wszystko chce wiedzieć, jak gniewa się, gdy pytanie jego bez odpowiedzi zostawione zostanie, a poznasz, że ta ciekawość dziecka jest pierwszym objawem ducha nieśmiertelnego, jest doświadczaniem siły tej skrzydlatej myśli. Jeżeliż dziecie sił swoich doświadcza, jeżeliż dziecie chce wszystko wiedzieć i umieć, jakimże wstydem okryć się musi człowiek, który obojętnie patrzy na to wszystko, czego nie rozumie, a z czegoby się wiele nauczyć potrafił.

Bóg dla ludzi wielką stworzył szkołę, a tą szkołą jest cała natura. Każde dzieło Stwórcy daje nam poznać Jego samego, a poznanie Stwórcy, jest to poznanie najwyższej Mądrości.

Gdybym ci dał powiększające szkiełko, które mikroskopem zowią, abyś przezeń spojrzał na maleńką kroplę wody, o, jakżebyś się zadziwił, że w tej kropelce, tysiące robaków się znajduje, robaczki a które gołem okiem żaden człowiek nie dojrzy. A jakże zdumiewać się będziesz, gdy ci powiem, że te drobniutkie stworzenia żyją, że ich budowa jest wykończona, tak, jakby jakiego dużego zwierzęcia. Ileż to mój Boże cudu w tej maleńkiej kropli wody, jakąż nieskończoną mądrość Bożą widać w tych tak nieskończenie małych stworzeniach ludzkiem okiem niedojrzanych. Ale porzuć tę ziemię, porzuć olbrzymie wielbłądy i słonie, porzuć niebotyczne góry, przenieś się myślą po nad ziemię, wzbij się tą myślą tam, gdzie widzisz słońce, księżyc i gwiazdy, przypatrz się tym jasnym światełkom, i posłuchaj, co ci o nich powiem. Oto te światełka, to są nowe światy, tysiące a nawet miljony razy większe od ogromnej naszej ziemi; a tych światów tak dużo, że więcej jak liści na drzewie, jak piasku w morzu! O, jak pojąć taki ogrom, jak tu zrozumieć tak wielką mądrość Stwórcy, tę Mądrość w tej nieskończoności ogromnych światów, którą tyle podziwiałeś przed chwilą w maleńkich stworzeniach, mniejszych od najmniejszego pyłku. Takim jest w dziełach Swoich Stwórca!

Tak to panie Tadeuszu; z kropli wody przeniosłem się z tobą w świat zaobłokowy, pokazałem ci, jak człowiek szybciej od ptaka myślą gonić potrafi, objaśniłem cię, gdzie jest tu szkoła, gdzie myśl w nowe siły ubogacać można. Ty mi dziękujesz uściśnieniem dłoni, a ja tak mało jeszcze ci się zasłużyłem; chcę byś mi więcej był dłużnym, i pozwól, abym cię wedle sił swoich w wolnych od pracy chwilach z tą naturą, która naokoło nas żyje, obznajmił.

II.

Witam cię panie Tadeuszu, przybywam podług przyrzeczenia, ty na mnie jak widzę już czekasz, oto czeladka twoja towarzyszyć ci pragnie; jakże się cieszę, i jak boję zarazem, czy oczekiwaniom waszym odpowiem, czy

chęciom waszym zadosyć uczynić będę potrafił.

Spojrzyjcie na to gwiazdziste niebo, patrzcie jakie mnóstwo gwiazd pokrywa go wszędzie: jedne świetniejsze, drugie bladsze, a choćbym wam chciał o której gwiazdce coś opowiedzić, czyż odszukacie ją na niebie? Tyle ich jest jednakowych, a takie ich mnóstwo, że wam się niezawodnie wydaje niepodobnem tę lub ową wyszukiwać gwiazdkę. Prawda, trudna to jest rzecz, tak samo jak trudno na obszernem morzu lub wśród wielkiej pustyni wytknąć sobie drogę, aby dojechać do celu, a jednakże robią się podróże po morzu, jeżdżą przez pustynie. Widzieliście zapewne, i to nie raz jeden słupy wytknięte na drogach, które objaśniają przechodnia, w którą stronę ma się udać; doświadczył zapewne to już nie jeden z was, jak często jedno drzewko w polu, jeden krzaczek na bezdrożu, pomógł do odszukania im danego miejsca, lub wykrycia jakiejś dróżki. Oto podobnie ułatwimy sobie podróż po niebie. Nie posadzimy tam drzewka, nie zatkniemy słupa, ale myślą poprowadzimy drogi, myślą wytkniemy punkta tak pewne, że choć ich widać nie będzie, to okiem za niemi ścigać będziesz, kiedy ci objaśnię, gdzie one się znajdują.

Widzicie tę płaszczyznę, na której stoimy, widzicie jak się zdaje, niby niebo styka się z jej krańcami,— ta płaszczyzna poziomem się zowie. Ten poziom, gdy stoimy na otwartem miejscu, to się wydaje, jakby wielkie koło w środku którego my się znajdujemy. Jeżeli podczas wschodu słońca stoimy obróceni do niego twarzą, i wyciągniemy w krzyż ręce, to ten punkt, w którym słońce wschodzi, zowie się wschodem, przeciwny jemu za nami, gdzie słońce wieczór zachodzić będzie, nazywa się zachodem; miejsce jakie pokazuje prawa ręka jest południem, a miejsce, jakie pokazuje lewa ręka jest północą. Umie więc każdy z was pokazać północ i południe, choć w tem miejscu, gdzie jest północ lub gdzie jest południe, żaden słupek nie stoi, żadne drzewko nie rośnie. Niechaj ci się zdaje, że na tem miejscu, na którem stoisz, postawił ktoś słup bardzo cienki, ale tak wysoki, że jego koniec samego nieba dotyka.

Słup taki nazywa się linją wierzchołkową, a jego koniec *zenitem* albo wierzchołkiem. Gdzież jest *zenit?* oto nad samą twoją głową na niebie. Patrzajcie nad samą moją głową świeci gwiazdka, oto ta gwiazdka jest zenitem.

Poprowadź myślą koło przez tę gwiazdkę nad moją głową czyli przez zenit, i przez dwa punkta północny i południowy, to koło takie nazywa się południkiem miejsca.

Żaden z was południka nie widzi, to prawda, bo go ani piórem nie nakreślisz, ani kołeczkami na niebie nie wytkniesz, ale stańże twarzą ku północy, w tyle mieć będziesz południe, nad głową zenit, i kieruj wzrokiem od zenitu ku punktowi na poziomie, gdzie jest północ, a wzrok twój przebiegać będzie po południku, którego nie narysowałeś, nie wytknąłeś, ale myślą poprowadziłeś. O, jak potężna to jest ta myśl ludzka!

Patrzmy się teraz na gwiazdziste niebo! Widzicie tę gwiazdę jedną na wschodzie, jak ona jest nizko, za godzinę, dwie, trzy,— już jej w tem miejscu nie będzie, ona się wzniesie wyżej, po północy będzie najwyżej, bo będzie na południku, potem znowuż coraz niżej i niżej, aż w końcu na samym poziomie się znajdzie, i na ostatek schowa się pod poziom, czyli zajdzie.

A ta druga gwiazda, która teraz już znacznie nad poziomem wzniesiona, ona prędzej przejdzie przez południk, prędzej zajdzie, bo wcześniej weszła. Gdybyście się przypatrywali przez kilka nocy i po kilka godzin tym gwiazdom, tobyście się przekonali, że każda gwiazda kreśli koło nad poziomem, jedna większe, druga mniejsze, a są i takie gwiazdy, które ciągle są nad poziomem, i nie tak jak tamte półkole nad poziomem kreślą, ale całe koło; choć my całego koła nie widzimy, tylko tę połowę, którą w nocy kreślą.

Zwróćcie oczy ku północy, poszukajcie siedmiu gwiazd świetnych, które jakby wóz z dyszlem złamanym stanowiły; to jest gromada gwiazd, która się niedźwiedzicą wielką nazywa. Uważajcie te dwie gwiazdy, które tył wozu stanowią, poprowadźcie przez nie myślą linję, i odetniecie na niej 3 długości takie, jak wysokość wozu, to na końcu zobaczycie jasną bardzo gwiazdę, która prawie ciągle w jednem stoi miejscu, a wszystkie inne na około niej swe drogi zakreślają. Ta gwiazda nazywa się gwiazdą biegunową,

a te miejsce na którem ono się znajduje biegunem się zowie.

Gdybyś połączył długim bardzo drutem ten biegun ze środkiem kuli niebieskiej, toby ci się zdawało, że całe sklepienie nieba naokoło tego drutu się obraca. Drut ten, czyli linja od środka kuli niebieskiej do bieguna poprowadzona, nazywa się osią świata.

Stań twarzą ku północy, kieruj wzrokiem od zenitu po południku, a natrafisz na tę świetną gwiazdę, gdzie jest biegun. Niechaj ci się zdaje, że od twego oka idzie drut do tej świetnej gwiazdy, czyli do bieguna, a drut ten wyobrazi ci oś świata.

Oto i wszystko, co wam dziś powiedzić miałem. Nauczyłem was gdzie to szukać wschodu, zachodu, północy i południa, gdzie to na niebie jest zenit, ktòrendy południk przechodzi, gdzie biegun świata, słowem w ciągu krótkiej podróży naszej po niebie, pokazałem wam pewne miejsca i drogi, do których zapewne traficie, gdy przyszłego wieczora powrócić do nich nam będzie potrzeba, aby się bliżej z niebem zapoznać.

Duch złodziej.

(Zdarzenie prawdziwe)

—

We wsi Michałowie pod Kaliszem mieszka sobie pocziwy gospodarz, nazywa się Dziedzic. Ten gospodarz przez pracę i oszczędność przyszedł do pięknego majątku. Nie lubi on się upijać, nie marnuje nigdy czasu na próżniactwie, jak to inni gospodarze mają zwyczaj. Zawsze on zajęty jaką robotą, to robi porządek w podwórzu, to dogląda inwentarza, czy sucho w oborze, czy konie ochędożone; a kiedy jest czas żniwa i roboty w polu, on zawsze jest pierwszy. Błogosławił mu też Pan Bóg tak na dobytku jako i w urodzajach. Stodoła po żniwach zawsze pełna, a kiedy inni na przedeżniwku ściskać się muszą, on wtenczas najwięcej sprzedaje zboża, bydełko ma piękne na całą wieś, ba, nawet na całą okolicę.

Nigdy też tam na niczem nie zbywało; był grosz zawsze na zakład, bo ani on, ani też żona nie zmarnowali ani szelągu. To też majątek Dziedzica, wzrastał z każdym dniem. Zebrał on sobie już było około 3.000 złp. gotówki, i za te pieniądze myślał przykupić roli, nabyć więcej pięknego bydełka i w lepsze porządki gospodarskie się zaopatrzyć. Nie uszło to baczności złych ludzi. Kusili się rozmaitemi sposobami pozbawić poczciwego Dziedzica zaoszczędzonego grosza, ale im się to jakoś nie udawało. Dziedzic był ostrożny, i chował swe pieniądze w najpewniejsze i najbezpieczniejsze miejsce. Był tam także w téj samej okolicy pewien człowiek, ale już nazwiska jego nie pamiętam, a był to nic dobrego, niewart, iż go ziemia Święta nosiła, bo próżniak, pijak, ladaco, a przytem i wielki złodziej. Ten też zawsze tylko żył z cudzej pracy, i choć często za swe sprawki złodziejskie dostawał się do więzienia, to tak już był wyuczonym w swém, iż nawet z więzienia często uchodził. Nie dawno temu, bo ledwo przed półrokiem, dowiedział się ten złodziej o owych pieniądzach, które sobie Dziedzic zaoszczędził. Często pokazywał się w okolicznych karczmach, czasem wkradał się do domu,, aby ztamtąd nie odejść z próżnemi rękami, ale co nie mógł, to nie mógł oszukać czujnego Dziedzica. Na nieszczęście na drugiéj stronie w domu Dziedzica umarł syn jego wspólnika Kołaty i pochowany został. Posłyszał o tem ów złodziej, a kiedy przekonał się, iż Dziedzica nie było w domu, zakradł mu się na górę. Tutaj zaczął stękać i wyrzekać, nibyto jaki pokutujący, i tak czynił szczególniej wieczorem. Wszyscy w domu myśleli, że to nieboszczyk syn Kołaty. Kobiety szczególnie drżały ze strachu, a tem więcej dla tego, iż dziewka widziała jakąś osobę wśród białego dnia na górze, a tu jęczało, chrobotało i stukało,— jak to zwykle mają robić duchy pokutujące. Później w nocy jeszcze większy robił niepokój ów duch pokutujący, bo zaczęło tak się stukać, jakby kto dach zrzucał z domu, albo deski od belek odrywał. I rzeczywiście tak też było. Na górze było schowanie, a w tem schowaniu były kiełbasy, słonina, masło, ser, chleb, a co więcej, były tam schowane i owe pieniądze. Złodziej był śmiały, odbijał zamki, odrywał deski, bo wiedział, że kobiety przestraszone, jego pokutowaniem, nie ośmielą się iść na górę, lub wołać kogo na pomoc. Przytem także wiedział i to, że ludzie ciemni nie chcą

przeszkadzać pokutującym duchom, więc też gospodarował sobie jak we własnym domu. Chodził pukał i jęczał, dopóki nie wynalazł pieniędzy, gdy je dostał w swe ręce, zajęczał jeszcze raz, spuścił potem jakiś ciężar z nadzwyczajnym łoskotem, a sam zeszedł po drabce jak najspokojniej. Od tego czasu zniknął teraz z tej okolicy ów złodziej, i pewno je sobie, i pije z swymi kolegami, łotrami jak on sam, za pieniądze poczciwego Dziedzica. Długo poszukiwał Dziedzic swej straty, ale tak jakby kamień w morze wrzucił. Takto ludzie nie raz przez swoją łatwowierność i strach nierozsądny tracą, na co krwawo pracować musieli, a nie chcąc wierzyć drugim, co to im przekładają, że nie trzeba wierzyć w duchy i straszki. Baśnie takie o strachach wymyślają sobie często stare babki, kiedy chcą dzieci straszyć, a ludzie ciemni wierzą tym baśniom, i to częstokroć na swoją szkodę.

Różności.

Bank Gminny w Niemirczu. Na Podolu w powiecie Mohylewskim, w majętności Stefana Buszczyńskiego, Niemirczu,— istnieje od lat dwóch bank gminny czyli gromadzki— pierwotnie ze złożonych przez właściciela, złp. 200, utworzony, a przynoszący wielkie dogodności dla włościan— czego dowodem jest znaczny wzrost kapitału z procentów. Mniemając więc, że wyrządzimy przysługę społeczeństwu, mającemu na celu wszelkie pożyteczne zakłady włościańskie, ogłaszamy drukiem ustawę rzeczonego banku.

1) Zaciągający pożyczkę wypłaca wziętą summę, w dwunastu terminach w ciągu roku, pierwszej niedzieli, rano każdego miesiąca.

2) Za tę dogodność, iż termin wypłat jest rozłożony, zaciągający pożyczkę płaci 20%, *który to procent służy do powiększenia banku gromadzkiego.* Tabelka rozkładu niżej.

3) Nikt nie ma prawa pożyczać w banku, pokąd takowy nie wzrośnie do większego kapitału, mniej jak dziesięć a więcej jak sto złotych.

4) Pożyczka odbywa się wokrągłych dziesiętnych liczbach dla ułatwienia rachunku i nie w innych, jak następujące: 10, 20, 40, 60, 80, 100.

5) Nikt, oprócz włościan w skład gromady jednej wsi wchodzących, lub jednych sąsiędnich dóbr, nie ma prawa korzystać z banku.

6) Zaciągający pożyczkę może tylko raz na miesiąc pożyczać.

7) Kassa pożyczkowa otwartą bywa z rana każdej niedzieli, a pożyczka zapisywaną być powinna w osobnej ku temu celowi sporządzonej księdze zarubrykowanej na 12 miesięcy. W rubrykach odznaczają się czerwonym ołówkiem kreską, oddane każdego miesiąca $1/12$ części summy ogólnej pożyczonej.

8) Jeżeli pożyczający w banku pieniądze, nie uiszcza się na termin, natychmiast oddać powinien całe pożyczane pieniądze z 20 procentem, po strąceniu wniesionych już pieniędzy, jeśli część należności wprzódy opłacił.

9) Egzekucja długów leży na odpowiedzialności starszych z gromady.

10) Chcący oddać na procent pieniądze do banku, ma prawo do tego.

Rozkład summ wypłacalnych.

Pożyczający płaci do banku:

	Złp	miesięcznie	Złp.	rocznie	Złp.
—	10	—	1	—	12
—	20	—	2	—	24
—	40	—	4	—	48
—	60	—	6	—	72
—	80	—	8	—	96
—	100	—	10	—	120

Od dnia otwarcia banku, corocznie przedstawia się gromadzie dokładne i zrozumiałe dla włościan sprawozdanie o stanie banku, z wykazaniem składowego kapitału i zysków.

Jak najregularniejsze wypłaty w oznaczone terminy, i ścisłe spełnianie prawideł, są najgłówniejszemi warunkami dobrego prowadzenia banku i przyzwyczajenia włościan do prowadzenia porządku i akuratności.

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12 — półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3 —miesięcznie złp. 1 Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.— Warszawa dnia 22 Marca 1863 r.